

W NUMERZE **POLITYKA** 13/27.03–2.04.2013

**SPOKOJU,
WYCISZENIA
I RADOŚCI
Z OKAZJI
ŚWIĄT
WIELKANOCNYCH**
ŻYCZY REDAKCJA



TEMAT TYGODNIA

- 12 Adam Szostkiewicz **Św. Franciszek – trudny wzór**
- 16 Edwin Bendyk **Paradoksy pomagania w biedzie**

ROZMOWA NA ŚWIĘTA

- 18 Rozmowa z antropologiem kultury prof. **Wojciechem Bursztą** o tym, jak nie zgubić rodziny w kalendarzu codziennych zajęć

POLITYKA

- 22 Robert Krasowski **OGLĄD I POGLĄD Spór o Smoleńsk, czyli o co**
- 25 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka **Ciężki los partyjnego delfina**

KRAJ

- 28 Edyta Gietka **Słoiki i Duity – nowi warszawiaczy**
- 32 Joanna Podgórska **Jak seriale meblują gust Polaków**
- 35 Juliusz Cwieliuch **Co robi dreamliner, gdy nie lata**
- 38 Agnieszka Sowa **O rolniku, który napadał na banki**
- 40 Marcin Kołodziejczyk **Tajemnica zniknięcia Karoliny**

ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO

- 42 Prof. **Robert Skidelski** o tym, dlaczego ekonomiści się mylą

RYNEK

- 46 Adam Grzeszak **Jak smakują żymłoki, kwaki i fafernuchy**
- 50 Cezary Kowanda **Co Polacy mają na Cyprze?**
- 54 Adam Grzeszak **Samochodowa unia Ameryki z Europą?**

ŚWIAT

- 56 Artur Domosławski **SUDAN POŁUDNIOWY Brutalna niepodległość**
- 60 Joanna Orzechowska **FRANCJA Szczęśliwi pesymiści**
- 63 Tomasz Zalewski **USA Jak Bob Woodward został bohaterem prawicy**
- 66 Rozmowa z opozycjonistą **Andriejem Sannikauem** o tym, jak demokratyzować Białoruś

HISTORIA

- 68 Łukasz Wójcik **Ryszard III odzyskuje twarz**
- 71 Jerzy Besala **Jak się grało u Wazów**

18 ROZMOWA NA ŚWIĘTA:
Nie przynoszę zegarka do domu



46 **Swojskie przysmaki z europejskim patentem**



132 **Krowy, króliki, krasnale, dinozaury i papież**

NAUKA

- 74 Marta Zaraska **Małpina, psina, konina – skąd się bierze mięsne tabu**
- 77 Rozmowa z psychologiem dr. **Michałem Bilewiczem** o tym, dlaczego lemingi i mohery nawzajem się dehumanizują
- 80 Jacek Kubiak **Terapia genowa przed zapłodnieniem**
- 82 Olaf Szewczyk **PORADNIK: NOWE SMARTFONY**
- 87 **TECHNOECHO**

KULTURA

- 94 Piotr Sarzyński **Habsburgów kolekcja osobliwości**
- 98 Janusz Wróblewski **Nowy etap Gry o tron**
- 101 **KAWIARNIA LITERACKA Jacek Dehnel**
- 102 Rozmowa z reżyserem **Grzegorzem Jarzyną** o znikaniu teatru
- 104 Dorota Szwarcman **Lutosławskiego biografia tragiczna i muzyczna**
- 108 Ryszard Marek Groński **Śmiesznie jak za Gierka**
- 110 Bartek Chaciński **Diamenty z archiwum Polskiego Radia**
- 113 **MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

- 114 Sebastian Frąckiewicz **Zombie atakują komiksy**
- 118 Ryszard Wolff **Randkowanie w Internecie**
- 121 Wojciech Bońkowski **Dobre wino z supermarketu?**
- 124 Sławomir Mizerski **Piotr Żyła – skacze i bawi**
- 126 Piotr Adamczewski **ZA STOŁEM Na Wielkanoc jajo strusia**

NA WŁASNE OCZY

- 132 Marta Mazuś **fotografie Filip Springer Papież jak żywy, tyle że olbrzymi**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia
- 90 Afisz • 127 Passent • 128 Stomma
- 129 Tym • 130 Fusy • 138 Polityka i obyczaj



ślawomir mizerski z życia sfer

Źli, bo głodni

Media alarmują: w Polsce są setki tysięcy niedożywionych dzieci, a ich liczba nie maleje. Niestety, dzieci nie są jedyną niedożywioną grupą Polaków. Z rozmaitych analiz i raportów wynika, że niedożywienie panuje także wśród urzędników państwowych i samorządowych różnych szczebli. Urzędnicy podkreślają, że chcieliby móc jeść zdrowo i w możliwie dużych porcjach, tak jak politycy na dyplomatycznych bankietach czy biznesmeni podczas biznes-lunchów.

Niestety, większość może o tym tylko pomarzyć. Na co dzień zmuszeni są jadać w służbowych stołówkach, w których dieta jest monotonna, uboga w szlachetne mięsa, drogie sery czy pożywne owoce morza. Wielu urzędników nie pamięta, kiedy ostatnio jedli sushi, a homara czy ostryg niektórzy nigdy nie mieli w ustach.

W dodatku śmieciowe jedzenie

popijane jest najczęściej niezdrowymi, tanimi napojami. W urzędniczej diecie dominują krajowe wódki, nalewki babuni i wina z Biedronki powodujące nudności i bóle głowy. Zdecydowanie brakuje zdrowych win wytrawnych w cenie powyżej stu złotych, francuskich szampanów czy bogatej w wartościowe składniki whisky single malt.

Urzędnicy, zwłaszcza szczebla wyższego, narzekają, że w pracy chodzą głodni, bo przez nikogo nie są nigdzie zapraszani. Obsesyjne myśli o tym, co zjedliby, gdyby pojawiła się taka okazja, przeszkadzają im w pełnieniu obowiązków. U pracowników urzędów centralnych w wyniku niedożywienia pojawiają się kłopoty z koncentracją, apatia, agresja, a niekiedy również depresja. W efekcie u wielu z nich pojawiają się myśli o zmianie pracy na taką, która zapewni więcej pożywienia dobrej jakości.

Państwo przyznaje, że nie jest w stanie zapewnić urzędnikom tego wszystkiego, co chcieliby zjeść. Na szczęście z pomocą od lat

spieszą bogaci biznesmeni, dożywialijący na własną rękę niektórych wybranych urzędników. Dzięki tym inicjatywom spora grupa dyrektorów departamentów, kierowników i głównych specjalistów ma szansę nieodpłatnie zjeść zdrowo zakrapiany posiłek, po którym mija apatia i wraca chęć do pracy. Najwięksi szczęśliwcy mogą także spędzić wraz z rodzinami urlop all inclusive w Egipcie lub na Karaibach, ewentualnie otrzymać drobny upominek w postaci nesesera z gotówką.

Lista hojnych biznesmenów jest długa, niestety narzekają oni na utrudnienia ze strony organów państwa. Wielu z powodu swojej hojności ma kłopoty, niektórzy nawet sankcje prokuratorskie. Najbardziej znany jest przypadek biznesmena Henryka Stokłosa, byłego senatora, który przez lata dożywiał i niósł pomoc materialną urzędnikom jednego z ministerstw, ale został za to skazany wyrokiem sądowym i obecnie sam wymaga pomocy i dożywiania.



VICTORINOX
SWISS ARMY

COMPANION FOR LIFE



EXCLUSIVE LED FUNCTIONS

NIGHT VISION

Białe światło LED
Funkcja strobo
Tryb ciągły



TIME VISION

Podświetlenie tarczy



LOCATOR

Wskaźnik
zużycia baterii



NIGHT VISION

Inspired by the Original Swiss Army Knife, Victorinox Swiss Army timepieces reflect relentless commitment to quality and functionality.

3-letnia gwarancja | Swiss Made | 42 mm | Wodoodporny do 50 metrów |

Odporne na zarysowania szkło szafirowe z potrójną powłoką antyrefleksyjną |

Bransoleta stalowa | Ref. 241569 | Cena : 2700 zł



SHARE
THE NIGHT VISION
EXPERIENCE

Warszawa : ARKADIA ul. Jana Pawła II 82 | GALERIA MOKOTÓW ul. Wołoska 12
Gdańsk : GALERIA BAŁTYCKA ul. Grunwaldzka 141
Kraków : BONARKA ul. Kamieńskiego 11

JUBITOM
JEWELLERY SINCE 1980



© ZUMA PRESS/FORUM

Kolej na pół

Chiny nie mają już ministerstwa kolei. Władze podzieliły tego największego w kraju pracodawcę: sieć torów (100 tys. km tras, w tym 9400 km superszybkich) i regulację ruchu przejęło ministerstwo transportu, a komercyjnymi przewozami zajmie się nowa firma państwowa – China Railway Corp. Gdy na pekińskiej siedzibie ministerstwa zmieniano szyl, setki byłych pracowników płakało. Ministerstwo było dla

nich wszystkim – miało własne przedszkola, szkoły i szpitale. W Chinach były kolejowe sądy, prokuratorzy i policja. W latach 50. „kolejowi żołnierze” walczyli w wojnie koreańskiej i doprowadzili komunistyczną cywilizację do Tybetu i Xinjiang. Kolej miała ponad 2 mln pracowników, czyli więcej niż chińska armia żołnierzy, i porównywalny budżet, a także gigantyczne długi jako spadek po dekadzie forsownego rozwoju. Nowa struktura ma zacząć na siebie zarabiać. Ale najpierw zarobił kto inny. Pretekstem dla podziału ministerstwa stało się aresztowanie szefa kolei

Liu Zhijun, który na łapówkach miał zarobić 152 mln dol. Likwidacja była błyskawiczna – od przedstawienia projektu do zmiany szylu minął zaledwie tydzień.

Przy okazji doszło prawdopodobnie do największej operacji korupcyjnej w historii Chin. Aktywa rozwiązywanego ministerstwa władze wyceniły na 690 mld dol., podczas gdy według ekspertów wartość są one nawet 20 bln dol. Różnica w ten czy inny sposób trafi zapewne do partyjnych działaczy, zajętych akurat walką z korupcją.

Czym różni się Cypr od Islandii

Wawrzyniec Smoczyński

komentarz

Gdyby właściciele cypryjskich kont wiedzieli, co ryzykują, zaakceptowałyby pierwszy pakiet ratunkowy i zawarty w nim 10-proc. podatek od depozytów. To, co ustalono w Brukseli w minioną niedzielę, przejdzie do historii jako rzeź oligarchów: zamiast karnego podatku strefa euro zarządziła przepadek depozytów najbogatszych klientów cypryjskich banków. Szczęściarzem, którzy mieli konto w Bank of Cyprus, zostawiają na wyspie 40 proc. swoich pieniędzy. Pechowcy, którzy ulokowali fortuny w banku Laiki, zapewne stracą wszystko. Śmierć Borysa Bierzowskiego mogła mieć więcej wspólnego z rachunkami finansowymi w Nikozji niż z politycznymi porachunkami w Moskwie. Rząd Cypru miał dwa wyjścia: zapożyczyć się na śmierć, byle tylko ocalić niewypłacalne banki, albo poświęcić banki, ocalając własną wypłacalność. Prezydent i rząd woleli to pierwsze wyjście – wzięli pożyczkę od Rosji, prosili strefę o 17 mld euro, byli gotowi opodatkować własnych drobnych depozytariuszy, byle nie ruszać banków i nie spłoszyć zaparkowanych w nich rosyjskich fortun. Nie bez znaczenia musiał być fakt, że minister finansów Cypru był do niedawna jednym z dyrektorów banku Laiki, a rodzina prezydenta ma firmę prawniczą, która według „Financial Times” obsługiwała dwóch rosyjskich miliarderów. Najwyraźniej cypryjskie władze były bardziej przywiązane do banków niż do państwa.

Bruksela wołała drugie wyjście i postawiła na swoim. MFW, nacuczony przypadkiem Grecji, która zapożyczyła się kolejnymi pakietami pomocowymi na 170 proc. PKB i dziś potrzebuje oddłużenia, postawił weto: dług Cypru nie może przekroczyć 100 proc. PKB, w przeciwnym razie kraj nigdy nie spłaci zobowiązań. Ponieważ gros pakietu ratunkowego miało pójść na wsparcie banków, uznano, że lepiej je zrestrukturyzować – to ładne określenie na li-



kwidację banku Laiki i złupienie bogatszych klientów Bank of Cyprus. Cały sektor bankowy ma się skurczyć o połowę, a depozyty z Laiki powyżej 100 tys. euro trafiają do tzw. bad banku.

Po rosyjskich oligarchach nikt nie będzie płakał, ale wyspę czeka gwałtowny spadek PKB – nie recesja, lecz depresja gospodarcza – a sami Cypryjczycy muszą znaleźć nowy sposób na życie. Jest kraj, który coś takiego niedawno przeszedł. Islandia w latach prosperity

również wyhodowała sobie sektor bankowy kilkakrotnie większy od całej gospodarki. Gdy w 2008 r. dwa największe banki złożyły się jak domki z kart, rząd w Reykjavíku nie miał pieniędzy na ich ratowanie ani tupetu, by prosić inne państwa o wybawienie go z kłopotu. Zamiast podpieierać bankrutów Islandia pozwoliła im upaść, odmówiła nawet spłaty części brytyjskich depozytariuszy. Islandczycy byli wściekli, postawili nawet premiera przed sądem, ale posypali głowę popiołem i wrócili z wirtualu do realu: zamiast spekulować cudzymi pieniędzmi, zaczęli znowu łowić i eksportować ryby.

Co różni Islandię od Cypru? Nie tylko nordycko-protestancka mentalność, która każe z pokorą uznawać własne błędy i naprawiać je ciężką pracą. Jakoś trudno sobie wyobrazić, by Cypryjczycy z podobnym zapałem wrócili do hodowli kóz i produkcji serów. Druga, znacznie ważniejsza różnica dotyczy waluty. Islandczycy mieli własną koronę, która wskutek kryzysu straciła połowę wartości, dzięki czemu eksport z wyspy stał się opłacalny. Cypryjczycy są zakładnikami euro i mogą co najwyżej dokonać wewnętrznej dewaluacji – dobrowolnie obciąć płace, świadczenia i emerytury, by odzyskać konkurencyjność. Niewykluczone, że znacznie prostszym rozwiązaniem będzie wyjście ze strefy euro.

Australia przeprosza matki

Ten proceder trwał prawie do połowy lat 70., w sumie doliczono się 225 tys. takich przypadków: przymusowej adopcji dzieci urodzonych poza małżeństwem. Wobec matek, przeważnie młodocianych, stosowano różne metody, w miarę upływu czasu coraz wymyślniejsze. Sprawę załatwiano jeszcze w szpitalu, strasząc doniesieniem na policję albo tłumacząc, że takie są przepisy i nie ma innego wyjścia, bądź stosując presję i perswazję, podając ogłupiający lek albo po prostu fałszując podpis. Dzieci, już z poprawionymi metrykami, trafiały do małżeństw, do dobrych domów i uczciwych katolików, bo w samym centrum tej operacji były przez lata instytucje religijne. Przed rokiem tę wstydliwą spuściznę badała specjalna komisja senacka, dotarła do wstrząsających świadectw i dokumentów oraz dramatycznych historii rodzinnych, które ciągną się do dziś. Teraz premier **Julia Gillard**, wśród ośmiuset matek, którym zabrano dzieci po porodzie, przeproszała za ten proceder, „niemoralny, nieuczciwy i w wielu przypadkach nielegalny”.



To nie pierwsza taka deklaracja; w 2008 r. premier Kevin Rudd przeproszał za podobny proceder z lat 1910–70, kiedy to dziesiątki tysięcy aborygeńskich dzieci zostało siłą umieszczonych w ośrodkach asymilacyjnych, gdzie wyrastały na prawdziwych Australijczyków bądź były

oddawane do adopcji. Australia przeproszała także brytyjskie sieroty z domów dziecka, wysyłane tu jak do raju, które trafiały jako tania siła robocza na farmy do czegoś na kształt obozów pracy (wstrząsający dokument na ten temat nakręciła BBC).

Śmierć ostatniego bojara

W ubiegłą sobotę w swojej podlondyńskiej posiadłości zmarł **Borys Bierzowski**, ostatni zbuntowany z „bankierskiej siódemki”, która u szczytu swoich wpływów rządziła Rosją. „Wraz z Bierzowskim umarły lata 90.” – powiedział znany rosyjski dziennikarz Leonid Parfionow. W 1996 r. siedmiu najbardziej wpływowych rosyjskich biznesmenów – Michaił Chodorkowski, Michaił Fridman, Władimir Gusinski, Władimir Potanin, Aleksandr Smolenski, Władimir Winogradow i właśnie Bierzowski – zawarło sojusz polityczny.

W mediach nazwano ich *siemibankirszczyzną*, na podobieństwo *siemibojarszczyzny*, rady siedmiu bojarów, która rządziła na Kremlu w okresie Wielkiej Smuty. Ich celem było zapewnienie reelekcji schorowanemu Borysowi Jelcynowi i zablokowanie komunistów, którzy w przypadku zdobycia władzy obiecywali Rosjanom cofnięcie bandyckiej prywatyzacji. Blokada się udała dzięki brudnej kampanii wyborczej, w którą zaangażowane były media podporządkowane oligarchom. Jelcyn nagroził bankierów „rodzinnymi srebrami”, czyli sprzedawanymi za bezcen państwowymi przedsiębiorstwami. *Siemibankirszczyzna* święciła triumfy, a jej nieformalny przywódca Bierzowski został prawą ręką Jelcyna. To on wykreował Władimira Putina na jego następcę. I to on najpewniej maczał palce w wywołaniu nowej wojny w Czeczenii, aby dzięki niej przysporzyć Putinowi popularności.

Dziś po jelicynowskich oligarchach pozostało jedynie smutne wspomnienie. Widać taki los tej dziwnej rosyjskiej formacji pisany. Z siedmiu bankierów jedynie Fridmanowi i Potaninowi udało się utrzymać w orbicie Kremla, ale za cenę całkowitego podporządkowania Putinowi. Chodorkowski siedzi w więzieniu, Gusinski na przymusowej emigracji w Hiszpanii. Winogradow zmarł na wylew, po wcześniejszym bankructwie. Bierzowski był ostatnim, który jeszcze się stawił Putinowi, ale pozbawiony pieniędzy i wpływów najprawdopodobniej popełnił samobójstwo.



Kryminał w miejsce poezji

Oprócz samych Chilijczyków na miejscu będą jeszcze eksperci z Argentyny, Hiszpanii i z Czerwonego Krzyża. Sąd wyznaczył 8 kwietnia na datę ekshumacji Pablo Nerudy: badania zwłok mają ostatecznie ustalić, czy laureat literackiej Nagrody Nobla zmarł z przyczyn naturalnych, czy został otruty. Poeta rozstał się z życiem w jednym ze szpitali Santiago de Chile we wrześniu 1973 r., niecałe dwa tygodnie po zamachu stanu, w którym władzę przejęła junta wojskowa z gen. Augusto Pinochetem na czele. Prawicowa dyktatura błyskawicznie rozprawiła się z przeciwnikami, wielu z nich zwyczajnie mordując. Neruda, zagorzały komunista i osobisty przyjaciel prezydenta Salvadora Allende głośno krytykował puczystów, więc dawni towarzysze podejrzewają, że junta postanowiła po cichu pozbyć się znanego na całym świecie literata. Oskarżenia opierają się na zeznaniach kierowcy Nerudy, który twierdzi, że poeta został w szpitalu otruty. Rodzina zmarłego cały czas podtrzymuje, że w rzeczywistości pokonał go rak prostaty.

Dwa lata temu, w ramach innego śledztwa, ekshumowano też ciało samego prezydenta Allende, żeby przekonać się, czy podczas zamachu stanu popełnił samobójstwo, czy został jednak zamordowany. Eksperci ustalili, że zastrzelił się sam.

Groby zaangażowane

Tradycja patriotycznej symboliki grobów pańskich sięga XIX w. Podczas rozbiorów w warszawskim kościele sióstr wizytek przy figurze zmarłego Chrystusa ustawiano klatki z kanarkami – symbol zniewolonej ojczyzny. Na Wielkanoc 1946 r. nad pozbawioną dachu ruiną kościoła św. Anny wznosił się krzyż, spod którego wзираły sierp i młot. Władze szybko zlikwidowały tę aranżację. W pamięci warszawiaków zapisał się za to pierwszy po drugiej wojnie grób pański w kościele św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. „Tu i ówdzie umieszczono w nim wspomnienia dopiero co przeżytej tragedii Warszawy: karabin maszynowy, hełm niemiecki, zdobyty przez powstańców, z orłem polskim wymalowanym na boku, pociski armatnie, niewypały i inne rekwizyty wojenne” – notują kroniki parafii św. Krzyża.

Wstanie wojennym i tuż po wielkanocne groby niejednokrotnie wykorzystywały symbolikę narodową, a także przypominały o ofiarach politycznych przełomów w PRL. Podczas Okrągłego Stołu w warszawskim kościele św. Anny artysta zrobił makietę Polski otoczonej łańcuchem rozrywanych przez wielkie białoczerwone ręce. Do czasów PRL nawiązał sześć lat temu sensacyjny „grób lustracyjny” w kościele w Dąbrowie Górniczej. Trwała wówczas dyskusja nad kontrowersyjną ustawą lustracyjną autorstwa PiS. Pod krzyżem znalazły się zakrwawione teczki imitujące te esbeckie. Nad grobem widniał ewangeliczny cytat: „Krew Jezusa, Jego Syna, oczyszcza nas z wszelkiego grzechu”. Twórcy chcieli w ten sposób powiedzieć, że sąd nad tymi, którzy współpracowali z SB, już się dokonał na krzyżu, bo Chrystus także za nich przelał krew. Grób wywołał tak wielkie kontrowersje i zainteresowanie mediów, że jeszcze przed Wielką Nie-

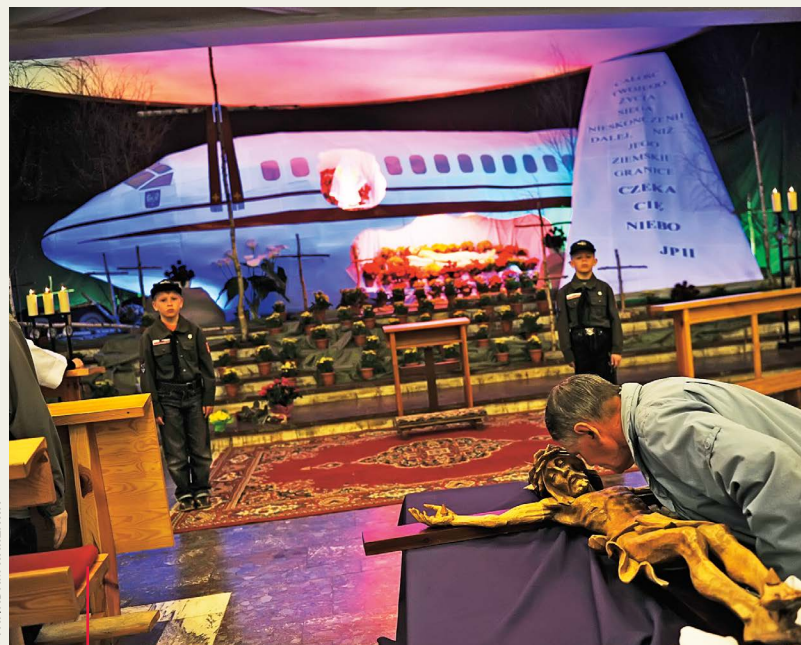
dzielą został zmieniony. Najbardziej zaangażowane politycznie groby stawały w gdańskim kościele św. Brygidy, kiedy proboszczem był w nim ks. Henryk Jankowski. Tu reagowały czasem już nie władze świeckie, lecz kościelne, np. w 1995 r., kiedy na czerwonym płótnie w grobie umieszczone zostały swastyki, sierp i młot oraz Gwiazda Dawida. Obok umieszczono napisy NSDAP, SS, NKWD, KGB, UB i SB oraz skróty nazw partii: PSL, SLD, UW, UP, a także PZPR. Metropolita gdański abp Tadeusz Gościński kazał je usunąć. Interweniował także w 2001 r., kiedy w grobie znalazła się miniaturka zwęglonej stodoły w Jedwabnem z ludzkim szkieletem opatrzoną napisem: „Żydzi zabili Pana Jezusa i Prokoców, i nas także prześladowali”. Od paru lat groby mają przede wszystkim religijną wymowę. – *Przygotowanie instalacji z wymową społeczną wymaga kilkudziesięciu tysięcy złotych, nie chcemy angażować takich środków na takie cele. Grób będzie w tym roku symboliczny, religijny, nawiązujący do zmiany przy sterach Stolicy Piotrowej* – mówi ks. Wojciech Lange z parafii św. Brygidy. Dwa lata temu, po katastrofie smoleńskiej, wiele parafii wplotło ten wątek w wielkanocny wystrój kościoła. U św. Brygidy zawisła wtedy białoczerwona szachownica – jak ze skrzydła wraku Tu-154. Ogromne zdjęcie całego wraku, z miejscem na monstrancję tuż za kabiną pilotów, było głównym motywem Grobu Pańskiego w kościele w Rumii (woj. pomorskie). – *W 2011 r. uznaliśmy, że tragedia smoleńska jest ważnym wydarzeniem dla naszej ojczyzny i chcieliśmy pokazać, że pustkę po tych, którzy odeszli, może wypełnić tylko Jezus Chrystus* – mówi proboszcz ks. Kazimierz Chudziński. Dodaje, że w tym roku grób będzie nawiązywał do wyboru nowego papieża oraz będzie zachęcał, by na Kościół, życie, małżeństwo spojrzeć przez pryzmat krzyża.



© PIOTR MAZUR/AGENCJA GAZETA



© PAPIADRZEJ RYBICZYŃSKI



© PAPIADAM WARSZAWA

Od góry: kościół św. Brygidy w Gdańsku, 1995 r., kościół św. Anny w Warszawie, 2007 r., kościół Najświętszej Marii Panny w Rumii, 2011 r.

Wbieżące debaty społeczne od wielu lat wpisują się dekoracje w krakowskich pijarów. W 2009 r. grób przedstawiał Jezusa jako ofiarę eutanazji. Realizmu dodawały szpitalne łóżko i kropiółka. Medyczne sprzęty wcześniej wykorzystał ks. Bogdan Bartołd, kiedy był jeszcze proboszczem w akademickim kościele św. Anny. – *Chcę zwrócić uwagę na bardzo trudną w 2007 r. sytuację w służbie zdrowia, zainscenizowaliśmy postać Chrystusa podłączonego do EKG* – opowiada ks. Bartołd. Potem przekazał sprzęt do jednego z mazowieckich szpitali. Kiedy został proboszczem warszawskiej archikatedry św. Jana Chrzciciela, także i tam zaczęły pojawiać się zaangażowane groby. Trzy lata temu nawiązywano do ogólnoeuropejskiej debaty na temat obecności krzyży w szkole. W grobie ustawiono ławki szkolne, a na ścianie znalazł się haczyk wskazujący puste miejsce po krzyżu. Na tablicy kredą napisano słowa wielkopostnej pieśni „Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił”. W tym roku w archikatedrze ks. Bartołd pokaże wzburzone morze, a przed nim postawi skałę z dwoma symbolicznymi kluczami piotrowymi. – *To nawiązanie do sytuacji Kościoła i świata kuszonych relatywizmem, któremu Kościół potrafi się przeciwstawić, wybierając jako następcę Chrystusa na ziemi papieża Franciszka* – mówi ks. Bartołd. Dodaje, że wiele tematów, które rozstrzygają się w polityce, dotyka moralności, a w tych sprawach Kościół musi zabierać głos.

Tradycja budowania grobów pańskich sięga wczesnego średniowiecza. Historycy Kościoła przyjmują, że zwyczaj przywędrował z Syrii. W XVIII w. zanikł w prawie całej Europie, ale do dziś jest kultywowany na terenie Austrii, Węgier, Polski i południowych Niemiec. (DAb.)

Więcej zdjęć grobów pańskich: www.polityka.pl/galeria

Komu terminal, komu

Do obsługi spisów powszechnego i rolnego Główny Urząd Statystyczny kupił 24 tys. terminali mobilnych HTC PRO 2 ze spisowym oprogramowaniem, także kryptograficznym, chroniącym przesyłane dane. GUS zapłacił 1361,36 zł za sztukę. Podczas spisu wykorzystywano je także jako telefony komórkowe, przewodniki rachmistrza po obwodzie spisowym (miały wbudowane cyfrowe mapy) i zdalne narzędzia do kontroli pracy rachmistrza przez spisowe centra.

Po zakończeniu spisu (30 czerwca 2011 r.) z terminalami o wartości ponad 32 mln zł (rachmistrzom skradziono 34 sztuki) należało coś zrobić. Za 10 lat, przy kolejnym spisie powszechnym, byłyby to już tylko informatyczny złom. Prezes GUS zostawił swoim pracownikom 4,5 tys. szt., a resztę przekazał innym instytucjom. Najwięcej trafiło do policji (16,5 tys. sztuk o wartości 22,5 mln zł). Ta od lat występuje w roli ubogiego krewnego i hojny dar przyjęła, zwłaszcza że przekazanie było nieodpłatne. Od otrzymania ostatniej partii terminali mija jednak 15 miesięcy, a policja wykorzystuje tylko mniej niż połowę daru i to tylko jako telefony komórkowe. Pozostałe (8490 szt.) leżą w policyjnych magazynach. Mają być wykorzystane jako urządzenia do nawigacji i do policyjnego Systemu Wspomagania Dowodzenia. Ale wcześniej trzeba wyposażyć je w odpowiednie oprogramowanie i u operatorów kupić usługę transmisji danych.

– *Na wszystko musimy ogłaszać przetargi* – tłumaczy Mariusz Sokołowski, rzecznik komendanta głównego policji. – *Jeśli cokolwiek wydaje się podejrzane, to je unieważniamy. Tak było w 2012 r., kiedy m.in. odkryliśmy znowę cenową*



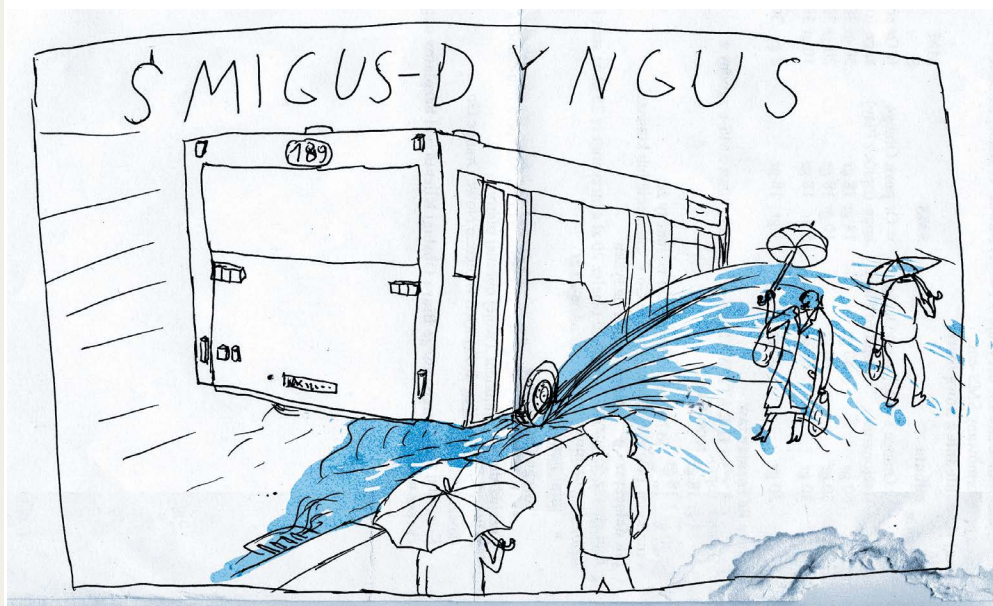
u dostawców czytników linii papilarnych, które miały być wykorzystywane przez policyjne terminale. Musimy mieć też w budżecie środki na eksploatację tych dodatkowych urządzeń.

Już w ub.r. policja na jakiś czas musiała część terminali wyłączyć z powodu zbyt wysokiej ceny usługi transmisji danych, proponowanej przez operatorów telefonii komórkowej. – *Nie może być tak, że policję, klienta korzystającego z tysięcy terminali, traktuje się gorzej niż pojedynczego obywatela, proponując jej wyższe ceny* – mówi Sokołowski.

Pytanie: czy w 2011 r. nie było innych państwowych urzędów i służb, które mogły lepiej i szybciej wykorzystać spisowe terminale? Zastanawiające jest to, że kiedy GUS w 2010 r. kupował ten sprzęt, nie pomyślano od razu o jego wykorzystaniu po zakończeniu spisu. Skoro większość z nich trafiła do policji, powinna uczestniczyć w przetargu i mieć wpływ na wybór oferty także pod kątem swoich potrzeb. Z dostawcą terminali od razu można by było też wynegocjować wszystkie prace dostosowawcze. Zapewne zmniejszyłoby to koszty, a terminale już półtora roku temu trafiłyby do rąk policjantów. Resortowych opłotków nie dało się jednak pokonać i tysiące terminali dalej leży w magazynach, ulegając technicznej dekapitalizacji.

MAREK HENZLER

Jan Koza



© JAN KOZA

Wiosna będzie jesienią

Przed tygodniem pisałam, pod wpływem różnych zgromadzeń i politycznych wypowiedzi, że zaczął się wielki wyścig pod hasłem – czyją będzie wiosna? Tymczasem polityka wyraźnie zaczyna się dostosowywać do klimatu. Wiosny wokół nie widać, więc zaczęło się też przekładanie politycznych planów na jesień.

Jesienią tak naprawdę pokaże się nam Europa Plus, która zaprezentowała jedynie średniej jakości stronę internetową. Wiosenna ofensywa Solidarności na razie ma się skończyć na próbie strajku generalnego na Śląsku, a wielka manifestacja w stolicy odbędzie się jesienią.

Trzeba oszczędzać i dotyczy to także związków zawodowych. Piotr Duda stawia więc obecnie na działania bardziej kameralne, np. wizyty u prezydenta Bronisława Komorowskiego, który mógłby przekonać rząd, aby nie zmieniać Kodeksu pracy. Wątpię, by zechciał przekonywać, ale lepiej, że szef Solidarności chodzi do prezydenta niż z manifestacjami pod Sejm.

W kwestii okręgów jednomandatowych bezkompromisowy jest nadal chyba tylko Paweł Kukiz z grupą działaczy, która od lat lansuje tę ideę na przekór wszystkim doświadczeniom, że okręgi takie raczej betonują, niż otwierają scenę polityczną. Najlepiej jednak będzie, jeśli Kukiz po prostu w następnych wyborach wystartuje z listy jakiejś partii, bo nawet z dalekiego miejsca do parlamentu się zabierze. To akurat łatwo przewidzieć.

Na wrzesień PO planuje także swój zjazd, na którym już w majestacie zmian statutowych zadecyduje, że przewodniczącego wybiorą wszyscy członkowie partii w wyborach bezpośrednich, czyli tak jak postanowił Tusk. Z zapałem i jednomyślnie przyjęły to władze partii, choć np. Grzegorz Schetyna wolałby oprzeć się na wyborach



przez delegatów. Takie przynajmniej istnieją podejrzenia. Wstępny zarys ewentualnych zmagających dwóch najważniejszych ludzi w Platformie można było zobaczyć w minioną sobotę podczas obrad Rady Krajowej, Tusk raczej gromił: żądał jedności, umiaru, wyzbycia się ideologicznego żaru oraz wzywał do okazywania ludziom większej empatii. Schetyna mówił zaś, że PO jest wspaniała, i przypominał wszystkie wyborcze sukcesy. Czy Tusk będzie od klęsk, ostrzeżeń i psucia nastroju samozadowolenia, a Schetyna od pasma sukcesów? Oficjalnie kampania wyborcza w PO została do jesieni zawieszona.

Do normalności wraca też PiS. Prezes Kaczyński ruszył w Polskę, na początek do Gostynina, gdzie od razu spotkał się z dość kłopotliwym pytaniem: dlaczego oddaliśmy władzę? Prezes najwyraźniej był w nastroju skłaniającym do szczerości, bo bez wahania odparł: oddaliśmy, bo nie potrafiliśmy jej utrzymać. Skomplikowane pytanie, prosta, uczciwa odpowiedź. A co dalej? Dalej jest raczej gorzej, bo PiS będzie mogło rządzić tylko samodzielnie, a do tego brakuje jeszcze 8–9 proc. społecznego poparcia. Jak je zdobyć? Trzeba postawić na sprawiedliwość społeczną, bo „nie może być tak, że ci, którzy mają mniej, płacą podatków więcej niż ci, którzy mają więcej”. Trzeba więc podatki zamożniejszym podnieść. Tym samym prezes zakwestionował całą dotychczasową linię gospodarczą

programu PiS, sformułowanego jeszcze przez Zytę Gilowską i realizowaną przez jego rząd. Politykę będącą dumą tej partii, opierającą się przecież na założeniu, że tylko PiS podatki obniża i w ten sposób ratuje Polskę przed kryzysem, a PO podwyższa i pcha nas w kryzys. Czy to jest nowy sposób na zdobycie i utrzymanie władzy?

Swoją tradycyjną metodę zwiększania poparcia PiS przypomniał podczas sejmowej debaty o polityce zagranicznej. Prezes z wycajowo nie przybył, bo miał inne zajęcia, wystawieni zaś do boju zajmowali się bardziej wykształceniem ministra Sikorskiego (podobno nie ma magisterium, jest tylko jakimś zwykłym „bakalarzem”) niż meritum. Wyjąwszy oczywiście kwestię wraku pod Smoleńskiem, który jest dziś niewątpliwie centralnym problemem polskiej polityki zagranicznej PiS. Nowością natomiast jest, że wreszcie wyraźnie wskazano winnego katastrofy. „Pan będzie oskarżony” – kategorycznie stwierdził Antoni Macierewicz, zwracając się do ministra Tomasza Arabskiego.

Arabskiemu, kandydatowi na ambasadora w Hiszpanii, zafundowano obrzydliwy spektakl insynuacji oraz politycznej hysterii, jednak najwyraźniej przekonujący, skoro nawet poseł Wziątek z SLD publicznie orzekł, że za tragiczny wyjazd do Smoleńska odpowiedzialność ponosi Kancelaria Premiera, choć wszyscy, łącznie z przewodniczącym partii posła Wziątka Leszkiem Millerem, wiedzą, że w pełni odpowiada Kancelaria Prezydenta.

Tak więc smoleńska odnoga PiS, uspiońska „projektem Gliński”, przesuwana na pierwszą linię frontu i już zagarnęła posła Wziątka. Przed nami trzecia rocznica katastrofy i walka o te 9 proc. potrzebne do samodzielnego rządzenia jeszcze się nasili. Jest ono niezbędne, by odwołać z Madrytu Arabskiego, co publicznie już ogłoszono. I tak oto w polityce zagranicznej PiS obok sprowadzenia wraku pojawił się kolejny ważny motyw – trzeba wygrać wybory, aby sprowadzić Arabskiego.

Toaleta z modrzewiowym dachem

Program budowy autostrad przeżywa kryzys – wiele odcinków jest rozgrzebanych, na części nie ma wykonawców, bo zbankrowali lub zeszli z budowy. Komisja Europejska wstrzymała 3,5 mld zł dotacji i wciąż nie wiadomo, kiedy je odblokuje. Między Generalną Dyrekcją Dróg Krajowych i Autostrad a wykonawcami trwa spór, kto za to wszystko odpowiada. Wciąż też powraca pytanie, ile kosztuje budowa polskich autostrad i dlaczego tak drogo.

Ciekawe informacje na ten temat przekazał w ostatnich dniach posłem z sejmowej komisji infrastruktury dyr. Krzysztof Suszek z firmy Inżynieria Polska. Spółka ta była

wykonawcą obiektów zaplecza autostradowego (stacje i punkty poboru opłat, miejsca obsługi podróżnych) na autostradzie A1 między Toruniem a węzłem Sójki. Miała za zadanie wybudować budynki administracyjne, toalety, wiaty itp. ściśle według projektów dostarczonych przez GDDKiA. Zadanie zostało wykonane, choć wykonawcy nie mogli nadziwić się rozrzutności projektantów i przyzwoleniu na to ze strony państwowego inwestora. Wymagano zastosowania skomplikowanych i drogich rozwiązań, w niektórych wypadkach tak precyzyjnie, że w praktyce oznacza to wskazanie konkretnego producenta lub dostawcy.

W efekcie koszt 1 m kw. budynku stacji poboru opłat (138 m kw.) wyniósł netto 9–10 tys. zł. Tyle kosztuje dziś metr apartamentu w stolicy. Wiaty stalowe kosztowały 3 mln zł, chociaż takie same na sąsiednim odcinku realizowanym przez firmę Skanska według projektu kosztowały 600 tys. zł. W przypadku toalet w Strzelcach projekt GDDKiA wymagał elewacji z holenderskiej cegły ręcznie formowanej i desek z modrzewia syberyjskiego, a dach musiał być pokryty blachą tytan cynk. Nic dziwnego, że koszt metra kwadratowego toalety wyniósł 7 tys. zł, czyli dwa razy więcej niż średnia cena metra budynku mieszkalnego. (A.Gr.)

„Bez wątpienia **Ford EcoBoost**

zmieni rynek”.

Steve Cropley, Autocar, Wielka Brytania.

„... technologie, które sprawiają, że **Ford EcoBoost** jest bezkonkurencyjny wśród innych silników benzynowych”.

Alberto Mallo, Motor 16, Hiszpania.

„Nowy silnik **Ford EcoBoost** zrewolucjonizuje świat samochodów”.

Fabian Hoberg, Bild am Sonntag, Niemcy.



International Engine of the Year
Ford 1.0-litre EcoBoost

FORD FOCUS Edition EcoBoost 1.0

z bezkonkurencyjnie bogatym wyposażeniem.

Już od **59 450 PLN.**

FordCredit 0%*

Zapisz się na jazdę próbną na www.ford.pl
i przetestuj najlepszy silnik świata **Ford EcoBoost.**

Zużycie paliwa oraz emisja CO₂: Ford Focus 1.0 EcoBoost 125 KM z systemem Auto-Start-Stop; 5.0 l/100km, 114 g/km (cykl mieszany, wg dyrektywy 80/1268/EEC). Na zdjęciu samochód z wyposażeniem wersji Titanium.
Oferta detaliczna jest ograniczona w czasie i ilości. Szczegółowe informacje u pracowników Autoryzowanych Salonów Forda.

* Oferta dotyczy kredytu 50/50 - dla całkowitej kwoty kredytu w wysokości 33 000 zł, oprocentowanie 0%, opłata przygotowawcza 1 270,50 zł, okres kredytowania 12 miesięcy, całkowita kwota do zapłaty 36 294,50 zł, RRSO 10,81% (zawiera koszt ubezpieczenia AC).



Go Further

KARDYNAŁ BERGOGLIO JAKO PIERWSZY PAPIEŻ W HISTORII
I CO TEN WYBÓR OZNACZA? KIM BYŁ ŚREDNIOWIECZNY ŚWIĘTY,



Św. Franciszek u papieża Innocentego zatwierdza regułę Braci Mniejszych. Giotto di Bondone, 1297–99 r.

PRZYJĄŁ IMIĘ FRANCISZKA. CZEMU NIKT PRZED NIM? KTÓRY DO DZISIAJ POZOSTAJE TAK ŻYWĄ INSPIRACJĄ?

BRAT BIEDA

ADAM SZOSTKIEWICZ

Franciszek z Asyżu nie chciał zakładać zakonu, pragnął tylko naśladować Chrystusa. Totalnie, bezkompromisowo, z żarliwością ewangelicznego fundamentalisty. Ten płomień nie gaśnie. Dziś pod szyldem franciszkańskim gromadzą się nie tylko katolicy łacińscy. Na inspirację św. Franciszkiem powołują się grupy anglikanów, protestantów, ludzie świeccy niezwiązani z żadną konfesją. Przy Narodach Zjednoczonych działa franciszkańska międzynarodówka, mająca status konsultacyjnej organizacji pozarządowej. Działa w myśl wartości franciszkańskich. Są nimi: poszanowanie godności ludzkiej, troska o prawa ubogich, sprawiedliwe gospodarzenie zasobami, ochrona środowiska naturalnego, pokojowe współistnienie narodów.

Sam Franciszek takiego języka oczywiście nie używał. Czy odnalazłby się w naszych czasach, w których kwestia ubóstwa jest sprawą przede wszystkim polityczną, a nie teologiczną? Oddając biednemu swój elegancki płaszcz, robił to w imię nauk Jezusa, a nie w ramach walki klasowej czy sporu neoliberalizmu z alterglobalistami. Ale zapewne byłby dumny, że po ośmiuset latach wspólnota jego imienia skupia 18 tys. mężczyzn i kobiet i obejmuje cały świat. Bez opowieści o Franciszku trudno opowiedzieć Kościół łaciński, duchową historię Zachodu, nie tylko religijną, także artystyczną. W powszechnym odczuciu Franciszek z Asyżu to ktoś, kto był bardzo blisko ideału chrześcijanina. Ludzie wielbią Franciszka za prostotę, za to, że kochał Boży świat, jaki jest, nawet z cierpieniem, złem i śmiercią.

To czemu żaden papież przed kard. Bergoglio nie przybrał imienia Franciszek? Czy dlatego, że papieże wyczuwali w tym jakąś nieszczerłość, jakąś kontestację? Bo nie da się pogodzić kościelnego przepychu, barokowej pompy, feudalnych klimatów watykańskich z życiem wędrownego kaznodziei, żebraka, pustelnika, jakim był historyczny Franciszek. Ta sprzeczność nie zniknęła po wyborze Bergolia. Miał mocno niewyrażną minę, gdy go oprowadzano po papieskim apartamencie w Watykanie. Jak wytłumaczy swemu Kościołowi, że ma mieszkać w takim luksusie, gdy jeszcze niedawno odprawiał msze w slumsach Buenos Aires i mieszkał jak zwykli ludzie?

A jednak świat katolicki jest gotów dać nowemu papieżowi kredyt zaufania. Nie razi go, że przyjął imię Franciszka, bo ludzie mu wierzą, że to na serio. Wierzą,

że chce i będzie papieżem ubogich, jak starał się być ich duszpasterzem w Argentynie. W tej wierze jest sporo zakłaniania kościelnej i watykańskiej rzeczywistości. Bo przecież nie ma żadnej gwarancji, że naprawdę dojdzie do jakiejś „refranciszkanizacji” polityki papieskiej i Kościoła oficjalnego. Do tego trzeba sił, środków, determinacji, zaufanych i lojalnych współpracowników. Ale wiara ta zawiera potencjał zmiany. Wystarczyło kilka dni nowego pontyfikatu, z jego prostymi gestami, a już nawet w Polsce biskupi mniej politykują i zaczynają zajmować się sprawami wiary.

Wierni oczekują, że papież Franciszek tchnie franciszkańskiego ducha w Kościół epoki globalnej. To go umacnia w zderzeniu z biernym oporem urzędniczych struktur i ludzi w Kościele. Czuje się, że nowy papież ma mandat szerszy niż wynik samego konklawe. Nie było takiego poczucia po wyborze Benedykta XVI.

ZEPSUTY ZA MŁODU

Franciszek historyczny pochodził z Umbrii, gdzie się urodził w Asyżu prawdopodobnie w 1181 lub 1182 r., w rodzinie bogatego kupca sukiennego nazwiskiem Pietro Bernardone. O jego matce, imieniem Pica, wiemy jeszcze mniej. Prawdopodobnie była szlachcianką z Prowansji. Hagiografowie z miłości do Franciszka konfabulowali, że przyszedł święty przyszedł na świat, niczym Jezus, w stajence. Chłopczyk dostał na chrzcie imię Giovanni, Jan. Ale ojciec, pod wrażeniem Francji, gdzie robił interesy, nazwał go Francesco, czyli Frank, Francuz. Chłopaka mniej ciągnęło do nauki niż do poezji i rzemiosła rycerskiego.

Był ponoć gwałtownikiem, ale o wielkim uroku osobistym. Rozpieszczany przez rodziców, używał życia na potęgę. Dusza towarzystwa, lansiarz, co się zowie. Ale nawet za tej swojej bananowej młodości był wrażliwy na ludzką biedę. Potrafił biegać po zaułkach i placach Asyżu w poszukiwaniu żebraka, który poprosił go o jałmużnę, gdy Franciszek był zajęty w sklepie ojca. Wziął udział w najeździe Asyżu na konkurencyjną Perugię i trafił na ponad rok do lochu jako jeńiec. Tam miał czas na rozmyślanie nad dotychczasowym bilansem swego życia. Ale kiedy wyszedł z niewoli, dalej chciał być żołnierzem. Nic nie zapowiadało, że z tego piękniejsza wyrośnie naśladowca Chrystusa.

Sredniowiecze ceniło sny. Nie mogło ich zabraknąć w żywotach sławnych mężów. Franciszkowi przyśniły się w tym czasie zbroje ozdobione krzyżami. To dla cie- ▶



© ERICH LESSING/CZARNY KOT

Stygmaty św. Franciszka, Lorenzo di Credi, XVI w.



© CORBIS



© AKG/EA ST NEWS

► bie i dla twoich żołnierzy, powiedział jakiś głos. Francesco zrozumiał, że to znak, iż będzie wielkim panem. Ale zachorował i w kolejnym śnie otrzymał rozkaz, by wrócił do Asyżu. Był 1205 r. Przyjaciele pytali, czy nie myśli się żenić. Tak, odpowiadał, z Panią Biedą. Pojawia się ona w kilku legendach o Franciszku. Bieda, ubóstwo, to słowo klucz w historii i doktrynie franciszkańskiej. Nie polega tylko na tym, że się nic nie ma w sensie materialnym. Jest też cenną wartością, dobrem duchowym, moralną cnotą. W intencji Franciszka ubóstwo było przede wszystkim pójściem za przykładem Jezusa.

Tak jak Jezus, Franciszek nie był buntownikiem społecznym, lecz rewolucjonistą duchowym. Odczuwał swój wysoki status społeczny jako zniewolenie duchowe, wiążące go z mirażami doczesnego sukcesu. Chciał się od niego uwolnić poprzez ubóstwo radykalne, przez dosłowne naśladowanie Ewangelii. W jednej z legend Franciszek chce się zaszyć w puszczy. Tam spotyka kobietę, której tłumaczy, że szuka na odludziu biedy, bo nie chce już bogactwa. Wtedy kobieta wyjawia mu, że ma na imię Paupertas, to znaczy Pani Bieda. Idealna kandydatka na żonę Brata Biedy, którym chciał być Francesco, nazywany też Poverello, Biedacznąą z Asyżu.

NAWRACAJĄCY WILKI

Francesco wyrzekł się dóbr doczesnych i świeckiej kariery, ale nie wyrzekł się miłości do świata. W swych poematach zachwyca się królestwem przyrody, pozdrawia Słońce i Księżyc niczym rodzeństwo, głosi kazania do ptaków i ryb, wykupuje owce prowadzone na rzeź, nawraca krwiożerczego wilka, nawet śmierć nazywa siostrą. To w dzisiejszym odbiorze czyni go pionierem głębokiej holistycznej ekologii. Ale to nieporozumienie, bo Franciszek swój kult natury dedykował Bogu jako biblijny chrześcijanin, a nie wyznawca New Age. Jednak dla dobra sprawy ekologicznej można na to przymknąć oko. Podobnie jak dla dobra sprawy ubogich, można przymknąć oko na to, że Franciszek nie był jednak prekursorem lewicowej teologii wyzwolenia.

Sprawa ubogich miała dla niego wymiar bardziej religijny niż społeczny. Żył w końcu w hierarchicznym społeczeń-

stwie feudalnym, gdzie ubodzy byli potrzebni moźnym jako siła robocza. Ich nędznym życiem interesowali się raczej nie z empatii czy z poczucia solidarności społecznej. Takie pojęcia tam raczej nie funkcjonowały. Podobnie jak idea równości względem prawa w naszym liberalnym rozumieniu. Ubodzy początkowo rzadko trafiali do klasztorów, a jeszcze rzadziej robili kościelne kariery. To było zarezerwowane dla ówczesnych elit. Musiało się w nich znaleźć miejsce dla mniej udanych szlacheckich synów i dobrze urodzonych niezamężnych panien. Szlachcie ubodzy byli przydatni, gdy trzeba było praktykować cnoty ewangeliczne, rozdawać jałmużnę, fundować przytułki i szpitale, kościoły i klasztorry. Na chwałę Bożą i z prywatnej nadziei, że może pójdzie się za to do nieba. Europa na tym korzystała cywilizacyjnie, a z nią i prosty lud. Ale droga do państwa socjalnego była jeszcze bardzo długa.

Po powrocie do Asyżu Franciszek, jadąc konno, spotyka trędowatego. Instynktownie się cofnął, ale potem zsiadł z konia, objął nieszczęśnika i dał mu trochę pieniędzy. Trędowaci byli wtedy w podobnej sytuacji, jak początkowo chorzy na AIDS w naszych czasach. Wykluczeni, izolowani, budzący strach i obrzydzenie. W tym samym czasie Francesco popadł w konflikt z ojcem, który nie akceptował przemiany zachodzącej w synu i chciał go wydziedziczyć. Ojcu nie podobało się, że Francesco wydaje krocie na remont kościoła, w którym usłyszał ponoć głos wzywający go do naprawy „mego domu idącego w ruinę” (hagiografowie rozszyfrowują to jako wezwanie Boże do odnowy całego Kościoła).

WYDZIEDZICZONY ZAKONNIK

Franciszek mógł działać na nerwy, gdy popadał w religijną manię. Zrywał z siebie ubranie, by je oddać obdartym żebrakom, nie dojadał, więc marniał w oczach, zadawał się z dołami społecznymi. W końcu ojciec go wydziedziczył. Francesco przyjął to jako wyzwolenie. Teraz mógł się swobodnie oddawać kontemplacji i modlitwie, opowiadać ludziom o Ewangelii. Czyli żyć tak, jak pragnął, wbrew ojcu i dawnym kompanom, którzy takie życie uważali za porażkę.

Freski z bazyliki św. Franciszka w Asyżu, Giotto di Bondone, ok. 1295 r. Od lewej: Franciszek oddaje płaszcz biednemu; święty ukazujący się mnichom w Arlès; Franciszek podpierający bazylikę św. Jana na Lateranie.



Gromadzą się przy nim ludzie, dla których jest nauczycielem i wzorem chrześcijanina. Niechętnie, ale opracowuje dla tej tworzącej się wspólnoty spis zasad. Krótki, surowy, z akcentem na ewangeliczne ubóstwo. Staje z tą regułą przed papieżem Innocentym III, a ten ją ustnie zatwierdza w 1209 r. Tę ważną dla zakonu scenę namalował mistrz Giotto, a żywot i dzieło Franciszka stało się wkrótce ulubionym tematem sztuki europejskiej. Powstały o nim obrazy, w tym El Greca, dzieła literackie, w tym Dantego (franciszkanina), hagiografie, na czele z „Kwiatkami św. Franciszka”, utwory muzyczne, w tym opera Messiaena, filmy, np. Zeffirellego i Liliiany Cavani. W kulturze polskiej, w której nurt franciszkański był żywy przez cały XX w., ze św. Franciszkiem zestawiano Janusza Korczaka i Edwarda Stachurę.

W XIII w. w Europie sprawy Kościoła szły źle. Instytucja i kler w moralnym rozkładzie i organizacyjnym chaosie. Na domiar złego w wielu krajach, zwłaszcza na południu Francji, rósł w siłę kataryzm. Kościół uznał ten ruch religijno-etyczny za herezję, bo atakował kult krzyżofixa (bliski Franciszkowi), chrzest w wieku niemowlęcym, zepsucie księży i ich przywileje. Wytworzył własną strukturę, stając się swoistym antykościółem. Szybko rozwijał się ruch waldensów. Jego założyciel, Piotr Waldens, bogaty kupiec z Lyonu, podobnie jak Franciszek był człowiekiem świeckim i podobnie jak on potraktował dosłownie ewangeliczne wezwania do ubóstwa. Waldensi ostro krytykowali oficjalny Kościół za żądę władzy i użycia. Również oni zaczęli tworzyć jakiś Kościół alternatywny, z własnym obrzędkiem i kaznodziejami (mogły nimi być także kobiety). Katarzy (kacerzy) eksterminowano z błogosławieństwem Kościoła oficjalnego. Waldensów zepchnięto do podziemia. Niektóre ich idee odżyją w reformacji. Demonstracyjne ubóstwo Franciszka z Asyżu pachniało katarską herezją.

POLITYCZNIE BEZPIECZNY

A jednak papież Innocenty, wbrew obawom swego dworu przyjmując w końcu Franciszka, dostrzegł w nim szansę pomocy w walce z ruchami kontestacji, nad którymi Kościół rzymski utracił kontrolę. Bo choć Francesco głosił ubó-

stwo, to nie krytykował papieża ani Kościoła. Nie domagał się oczyszczenia instytucji, wyższego poziomu moralnego i intelektualnego księży. Był politycznie bezpieczny, choć podjął politycznie niebezpieczny temat ubóstwa.

Był polityczny w XIII w. i w naszych czasach, gdy brazylijski franciszkanin Leonardo Boff popierał lewicującą teologię wyzwolenia. Ta bomba nigdy nie została zupełnie rozbrojona. Temat ubóstwa wciąż wracał w dyskusjach w samym zakonie i w Kościele, wywołując podziały i rozłamy, akcje i kontrakcje. Ale stopniowo Kościół wchłaniał i oswajał buntowniczą ideę franciszkańską. Innocenty miał rację.

Dwa zakony, którym papież pozwolił powstać i rozkwitnąć – franciszkanie i dominikanie – okazały się lotnymi brygadami papieżstwa. Czasem drogą mało chrześcijańską, jak dominikanie inkwizytorzy wysyłający na śmierć heretyków i czarownice. Ale niewątpliwie wędrowni kaznodzieje zebracy, którzy rozeszli się po całej Europie, a nie siedzieli za murami jak benedyktyni, bardzo pomogli Kościołowi odzyskać kontrolę nad wiernymi i zażegnać kryzys instytucji.

Ruch franciszkański u zarania był wezwaniem powrotu do ewangelicznych źródeł wiary. I od samego początku dla jednych ubóstwa było w nim jeszcze za mało, dla drugih już za dużo. Nawet za życia Franciszka dochodziło na tym tle do ostrych sporów i w 1220 r. musiał on wracać do Rzymu z wyprawy do Egiptu, gdzie próbował nawrócić sułtana podczas piątej wyprawy krzyżowej (dziś można tę nieudaną misję odczytywać jako zapowiedź idei ekumenizmu). Do rozłamu nie doszło, ale Franciszek usunął się w cień. Nigdy zresztą nie zdradzał skłonności wodzowskich. Wolał głosić Ewangelię. Za zgodą papieża urządził w umbryjskiej wiosce pierwszą szopkę bożonarodzeniową. Zamiast słuchać kacerzy – lud podziwiał stajenkę betlejemską.

STYGMATYK NA GÓRZE

Krzyżofix fascynował go do końca. A to oznaczało także fascynację cierpieniem i śmiercią. Franciszek chciał naśladować Chrystusa nie tylko w ubóstwie, ale też w męce. Ta jego obsesja humanizowała jakoś masową religijność, bo pokazywała podobieństwo przeżyć Chrystusa na krzyżu do cierpień ludzi. Ale też, jak każdy fundamentalizm, budziła niepokój uporządkowanej, zhierarchizowanej kościelnej władzy.

W ostatnich latach życia Franciszek, chory i tracący wzrok, jest przede wszystkim mistykiem i wizjonerem. Apogeum przychodzi w 1224 r. Po 40-dniowym poście Franciszek na górze La Verna (Alvernia) w Apeninach otrzymuje stygmaty. Na ciele pojawia się pięć niegojących się ran w miejscach, gdzie znajdowały się rany Chrystusa wiszącego na krzyżu. Dla wierzących to niemal pewny znak świętości Franciszka. Umiera przed pięćdziesiątką, w 1226 r., już dwa lata później zostaje kanonizowany.

Radykalizmu się nie wyrzekł, ale pozostał lojalny wobec Kościoła i papieżstwa. Wybór Jorge Mario Bergoglia pasuje do tej opowieści. Jest spójny z rolą św. Franciszka jako odnowiciela chrześcijaństwa łacińskiego w granicach katolickiej ortodoksji. Kościół wchłoniął i oswoił ruch Franciszka z Asyżu, ale nie usunął do końca napięcia między ideą ubóstwa w służbie Boga a przepychem dworu papieskiego i pałaców biskupich. To napięcie wniósł teraz do Watykanu sam papież Franciszek. Już od początku jego pontyfikatu widać, że podobnie jak święty z Asyżu, nowy papież nie będzie szedł na otwartą wojnę z Kościołem bogatym, ale że jego miłością i przesłaniem pozostanie Kościół ubogi.

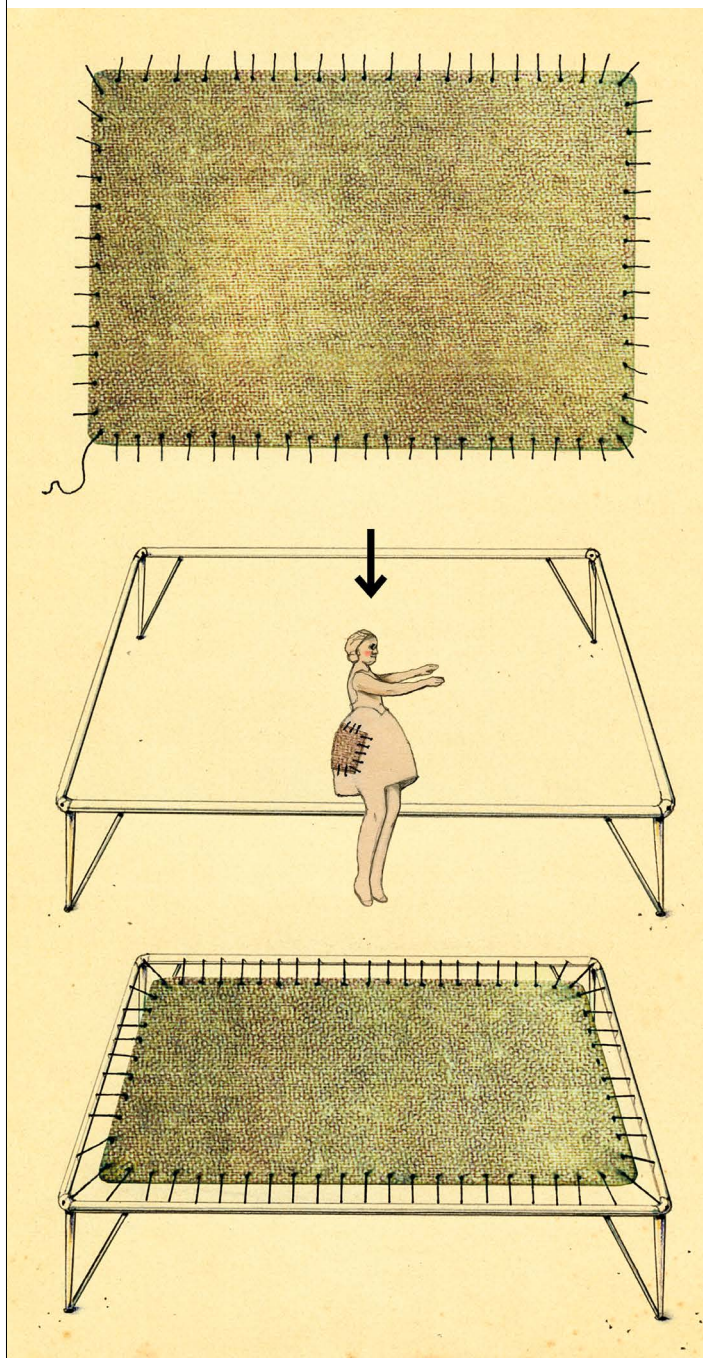
Franciszkanizm nowego papieża jest niepolityczny w tym sensie, że nie postawi kwestii władzy w Kościele oficjalnym. A to ta kwestia jest równie ważna dla odnowy zorganizowanego katolicyzmu jak kwestia ubóstwa, praw kobiet czy wiary w globalnym świecie. Może najważniejsza.

ADAM SZOSTKIEWICZ

SŁOWO O MBARBKU

POMOC DLA BIEDNYCH TEGO ŚWIATA MA BYĆ JEDNĄ Z GŁÓWNYCH MISJI KOŚCIOŁA PAPIEŻA FRANCISZKA. DOŚWIADCZENIA NIEZLICZONYCH PROGRAMÓW POMOCOWYCH UCZĄ JEDNAK, ŻE ABY WALKA Z UBÓSTWEM BYŁA SKUTECZNA, TRZEBA PORZUCIĆ RÓŻNE FILANTROPIJNE ILUZJE, ŻYWIONE PRZEZ LUDZI DOBREJ WOLI.

EDWIN BENDYK



Bieda nieodmiennie kojarzy się z głodem. Gdy ludziom zaczyna brakować na jedzenie, zaczynają się bunty i upadają rządy. Władze Egiptu wydały w 2008 r. blisko 4 mld dol. na subwencje do żywności, co i tak nie uchroniło kraju przed rewolucją trzy lata później. Rząd Indonezji dopłaca do ryżu, by zapewnić jego niską cenę. Podobnie czynią władze wielu indyjskich stanów.

Bez sensu, przekonuje francuska ekonomistka Esther Duflo. To najbardziej nieefektywny sposób pomocy – tylko w Indiach ponad połowa skierowanej do biednych pszenicy i blisko jedna trzecia ryżu nie trafia do adresatów, „rozpływając” się po drodze. Ale co – z powodu korupcji i nieefektywności pozostawić biednych na pastwę głodu?

Duflo przez wiele lat badała na całym świecie problem biedy. W 2011 r. opublikowała wspólnie z indyjskim ekonomistą Abhijitem Banerjee książkę „Poor Economics. A Radical Rethinking of the Way to Fight Global Poverty” (Nędzna ekonomia. Radykalna zmiana myślenia o walce z globalną biedą). Uczeń wspomina w niej rozmowę z Ouchą Mbarbkiem, mieszkańcem marokańskiej wsi. „Zapytaliśmy, co by zrobił, gdyby miał więcej pieniędzy. Odpowiedział, że kupiłby więcej jedzenia. A gdyby miał jeszcze więcej pieniędzy? Odpowiedział, że kupiłby smaczniejsze pożywienie. Przyjęliśmy odpowiedzi ze zrozumieniem i jednocześnie ze współczuciem dla rodziny Mbarbka, widząc, że jego dom jest wyposażony w telewizor i inne technologiczne gadżety. Dlaczego kupił te wszystkie rzeczy, skoro nie stać go na zapewnienie odpowiedniej ilości jedzenia? Zaśmiał się i stwierdził: przecież telewizor jest ważniejszy od jedzenia!”

Ekonomiści, zamiast użalać się i moralizować, postanowili zrozumieć Mbarbka i przekonali się, że nie jest on wcale ekscentrycznym wyjątkiem. Podobne sytuacje powtarzały się na całym świecie, w różnych społeczeństwach i kulturach. A powinno być przecież inaczej. Klasyczna ekonomia podpowiada, że człowiek to *Homo economicus*, istota racjonalna dążąca do maksymalizacji użyteczności. Oznacza to, że dysponując ograniczonymi środkami, w pierwszej kolejności zaspokajając będzie najbardziej podstawowe potrzeby. W tym momencie wkracza psychologia podpowiadająca, że ludzkie potrzeby układają się w kształt piramidy, którą opisał przed laty amerykański uczyony Abraham Maslow.

Na dole piramidy znajdują się potrzeby fizjologiczne – człowiek, dopiero gdy się naje, napije i wyśpi, może myśleć o zagadnieniach ambitniejszych, jak relacje z innymi ludźmi, kultura. Czy zatem Mbarbk i jemu podobni nie pasują do teorii, czy też może teoria nie opisuje właściwie rzeczywistości?

Nie trzeba sięgać po naukowe opracowania, by się przekonać, że szwankuje teoria. Wystarczy przypomnieć eksperymenty na masową skalę, w jakie obfitował XX w., kiedy dziesiątki milionów ludzi przeżyło doświadczenie łagrów i obozów koncentracyjnych. Budząca grozę literatura, opowiadania Sza-

© MIROSLAW GRYN

łamowa, wspomnienia Herlinga-Grudzińskiego, Grzesiuka i Prima Leviego, pokazuje jedno: ci, którzy uwierzyli w piramidę Masłowa i ograniczyli swe potrzeby do fizjologicznego minimum, najczęściej nie przeżywali.

Co więc decydowało o przeżyciu, kiedy umierała nawet nadzieja? Odpowiedzi udziela Otto Dov Kulka, izraelski historyk, który przeżył Auschwitz i późniejsze zawodowe życie poświęcił badaniu Holocaustu. W niewielkiej, wydanej niedawno książeczce „Landscapes of the Metropolis of Death” (Krajobrazy metropolii śmierci) konfrontuje wiedzę historyka z pamięcią dziecka uratowanego z piekła.

Głód był doświadczeniem codziennym, a płomień i dymy krematoriów przypominały o wiszącym wyroku. Mimo to w łaźni potajemnie odbywały się próby dziecięcego chóru śpiewającego wbrew logice i rzeczywistości „Ode do radości”. Zaangażowanie w sztukę unieważniało zamiar katów, pragnących zredukować egzystencję więźniów do czystej biologii, do „nagiego życia”, pozbawionego sensu i znaczenia. Nie biologia, lecz kultura dawała szansę na przetrwanie, nawet jeśli większość nie przeżyła. Bo to kultura właśnie jest „naturalnym” środowiskiem ludzkiej egzystencji. Dlatego na problem ludzkich potrzeb należy spojrzeć inaczej, nie przez pryzmat wyrażającej hierarchię piramidy, lecz złożonego układu łączącego wymiar biologiczny z symbolicznym.

Takie spojrzenie poparte empirycznym doświadczeniem pozwala Esther Duflo twierdzić, że biedni niczym nie różnią się od bogatych, poza tym, że mają mniej pieniędzy. Mimo że nie dojadam z rodziną, ograniczę nieco potrzebę jedzenia, by zaoszczędzić na telewizor. Nie po to, by zafundować sobie zbędny luksus, lecz mieć dostęp do kultury, informacji, do świata rozrywki, równie ważnych, jak kalorie.

Błędna antropologia i teoria ludzkich potrzeb powoduje nie tylko, że szwankują programy pomocy biednym polegające głównie na „bombardowaniu” tym, co wydaje się najpotrzebniejsze, a więc paczkami z żywnością, lekami, odzieżą. To prawda, że taka interwencja jest niezbędna w sytuacji katastrof humanitarnych, jednak zdecydowana większość z ponad miliarda osób uznanych za niedożywione nie nazywa swojej sytuacji katastrofalną. Przeciwnie, starają się żyć normalnie, co nie przychodzi im łatwo, bo borykać się muszą z licznymi niedostatkami, jak choćby brak dostępu do kapitału i podstawowej infrastruktury cywilizacyjnej.

Te braki z kolei są najczęściej wynikiem błędnej wizji potrzeb. Do największych niespodzianek początku XXI w. należy rozwój telefonii komórkowej w krajach rozwijających się. W 2000 r. z komórek korzystał na świecie niespełna miliard ludzi, obecnie liczba ta przekracza 6 mld. Nawet w Somalii, gdzie praktycznie nie działa rząd, funkcjonuje kilku operatorów komórkowych. Rynki takich krajów jak Somalia wydawały się mało interesujące zachodnim korporacjom pod koniec XX w. Teoria podpowiadała, że skoro ich mieszkańcy głodują, to najpierw muszą się najęść, zanim zainwestują w telefon.

Sunil Mittal, kierujący indyjskim koncernem telekomunikacyjnym Bharti Airtel, nie miał jednak wątpliwości, że możliwość porozumiewania się należy do podstawowych ludzkich potrzeb, nie istnieje więc powód, dla którego biedni nie chcieliby korzystać z nowoczesnych usług telekomunikacyjnych. Pod warunkiem że dostaną ofertę skrojoną na miarę swych mierzonych środków.

Mittal skroił więc tak model biznesowy dla swojej firmy, by opłacało mu się rozwijać sieć przy średnim miesięcznym wpływie od abonenta na poziomie 4 dol. – 10-krotnie mniej, niż oczekiwali firmy zachodnie. W efekcie Mittal został miliardern, jego firma jest trzecim pod względem liczby użytkowników operatorem komórkowym na świecie, działającym w kilkudziesięciu, głównie biednych, krajach.

Co z tego mają sami biedni? Podobną infrastrukturę jak bogaci, co powoduje, że tak jak bogaci mogą korzystać z wielu

usług umożliwiających lepsze zarządzanie swoimi sprawami: prowadzenie firm, sprawdzanie cen na produkty rolne, kontakt z lekarzem, bezgotówkowe transakcje finansowe. Ekonomiści podliczyli, że w Afryce wzrost liczby abonentów komórek o 10 punktów procentowych przekłada się na wzrost PKB o 0,5–1 proc. Co z kolei oznacza szansę na zmniejszenie biedy.

Nowe zrozumienie potrzeb i natury biedy stało się także podstawą nielicznych, lecz spektakularnych sukcesów programów walki z ubóstwem. Do przykładów podręcznikowych zaliczany jest już brazylijski program Bolsa Familia rozwinięty przez byłego prezydenta Inácio Lula da Silvę. Polega on na dystrybucji pomocy do najuboższych mieszkańców. Warunkiem przekazania rodzinie świadczenia jest m.in. wykazanie, że dzieci chodzą do szkoły oraz na kontrole medyczne.

Równoległe do tego nowoczesnego, lecz klasycznego w sumie programu redystrybucji minister kultury Gilberto Gil uruchomił projekt Pontos de Cultura. Do faveli, czyli dzielnic biedy, ruszyły ekipy z zadaniem tworzenia niewielkich ośrodków – punktów kultury zaopatrzonych w podłączenie do Internetu, komputer z oprogramowaniem umożliwiającym m.in. tworzenie muzycznych remiksów i rewolucyjnym przekazem: jesteście biedni, jesteście jednak ludźmi, a więc osobami zasługującymi nie tylko na dostęp do kultury, lecz także godnymi i zdolnymi do tego, by ją tworzyć. Symboliczne uznanie godności biednych i ich upodmiotowienie zwiększyło efektywność programu pomocy społecznej. W efekcie Brazylia jest jedynym bodaj krajem, który w ostatniej dekadzie zmniejszył rozwarstwienie społeczno-ekonomiczne.

Podobną strategię walki z patologiami społecznymi zastosował w 2003 r. Sergio Fajardo, burmistrz Medellin. To kolumbijskie miasto ciągle kojarzy się jako światowe centrum kokainy. Gdy w 1992 r., za czasów Pablo Escobara, zginęło w nim 6,5 tys. ludzi, zostało uznane za najbardziej niebezpieczne miasto świata. Fajardo wiedział jednak, że nie zwalczając przemocy i patologii, stosując jedynie metody policyjne. Zamiast wojska wysłał więc do slamsów najlepszych architektów. Zaprojektowali oni pięć publicznych bibliotek, które pośród biedadomków wyglądają jak pojazdy UFO. Burmistrz przekonywał, że estetyczna interwencja najwyższej próby jest najlepszym sposobem pokazania biednym, że są normalnymi ludźmi. Miał rację, rozpoczęte od bibliotek reformy w ciągu dekady zmieniły Medellin do tego stopnia, że na początku br. zostało uznane za najbardziej innowacyjne miasto świata.

Tę opowieść można wzbogacać kolejnymi przykładami. Dowodzą nie tylko, że z biedą można skutecznie walczyć. Więcej, mieszkańcy wielu krajów rozwiniętych, już piąty rok zmagający się kryzysem gospodarczym, odkrywają, że sami wiele od biednych mogą się nauczyć. Gdy bezrobocie wśród młodych sięga, tak jak w Hiszpanii lub Grecji, 60 proc., pożegnać się trzeba ze stylem życia klasy średniej polegającym na nieskrępowanej konsumpcji na kredyt. Gdy zamiast w kolejce po cappuccino w Starbucksie trzeba stanąć w ogonku po darmową zupę, zyskuje się czas do myślenia: czy miarą ubóstwa rzeczywiście jest chudość portfela, czy raczej jakość i zadowolenie z życia? A to wcale nie zależy od ilości pieniędzy, tylko od kultury – wspólnego, dzielonego z innymi wyobrażenia o tym, co ma wartość. Wartość, a nie cenę.

Kwiecień jest w Polsce tradycyjnym miesiącem dobroczynności: tysiące organizacji pożytku publicznego rywalizuje o odpis z naszego podatku, a my stajemy się jednoprocetowymi franciszkanami. Zwykle zresztą, decydując czy i na kogo coś przepisać, kierujemy się impulsem, odruchem współczucia, reagujemy na specyficzny marketing biedy. Nie ma w tym żadnego błędu, ale po latach praktykowania podatkowej filantropii warto może decyzję trochę skomplikować, wyłuskując takie organizacje, które wnoszą w świat ubóstwa, upośledzenia i wykluczenia coś więcej niż proste materialne wsparcie.

Prof. Robert Skidelsky o ekonomii na czasy kryzysu s. 42.